

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/niemcy/61362,Wieziennio-obozowe-wspomnienia-Wandy-Serwanskiej.html>



Cela w Forcie VII, widok obecny. Fot. AIPN

ARTYKUŁ

Więziennio-obozowe wspomnienia Wandy Serwańskiej

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: ALEKSANDRA PIETROWICZ, JACEK ŻUREK

14.01.2020

Aresztowana w Poznaniu, przeszła przez śledztwo w gestapo, Fort VII, obóz w

Żabikowie, skąd trafiła do Auschwitz-Birkenau. Po wojnie opisała swoje przeżycia.

Wanda Krawcówna¹ urodziła się 5 czerwca 1921 r. w podpoznańskim Żegrzu (dziś w granicach miasta). Była jeszcze dzieckiem, gdy osierocił ją ojciec, Józef Krawiec, kierownik tamtejszej szkoły. Z Weroniką z Lehmannów miał on, prócz córki, trzech synów: Feliksa, który zginął we wrześniu 1939 r., Bernarda² i Teobalda.

W 1939 r. Krawcówna zdała maturę. Mieszkała z matką w Poznaniu przy ul. Przemysłowej (Wilda), skąd zostały przez Niemców wysiedlone na początku wojny na Staszica (Jeżyce), a następnie na Małeckiego (Łazarz). Od pierwszych dni września 1939 r. Krawcówna była zaangażowana w działalność Pogotowia Wojennego Harcerek, a prawdopodobnie od 1940 r. w konspirację w ramach Akademickiego Koła Harcerskiego im. Heliodora Świącickiego (AKAHA).³ Uczestniczyła w akcji pomocy dla żołnierzy w obozach jenieckich i dla więźniów, a także w zajęciach tajnego nauczania prowadzonych przez Kuratorium Wojenne oraz w kursach harcerskich. W drugiej połowie 1942 r. została łączniczką Edwarda Serwańskiego „Mietka”, harcerza z Ostrowa Wielkopolskiego, członka organizacji „Ojczyzna”, oficera ZWZ/AK i pełnomocnika na Wielkopolskę Biura Zachodniego Delegatury Rządu na Kraj⁴. Nosiła pseudonim „Wundzik”. Prowadziła punkt kontaktowy w kiosku gazetowym na Dworcu Głównym w Poznaniu – „jeden z najlepszych [...] w całym systemie łączności [pełnomocnika Biura Zachodniego] w Wielkopolsce”⁵.

Od pierwszych dni września 1939 r. Krawcówna była zaangażowana w działalność Pogotowia Wojennego Harcerek, a prawdopodobnie od 1940 r. w konspirację w ramach Akademickiego Koła Harcerskiego im. Heliodora Świącickiego (AKAHA).

Została aresztowana przez gestapo w swoim kiosku 5 czerwca 1943 r. Przewieziono ją najpierw do poznańskiego gestapo, później do więzienia niemieckiej Policji Bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*) w Forcie VII i wreszcie do nowo utworzonego obozu w Żabikowie na obrzeżach Poznania; w tym czasie była przesłuchiwana. W połowie grudnia, po nieudanym – z punktu widzenia gestapo – śledztwie wysłano ją do

niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau.⁶ Stamtąd przetransportowano ją 24 października 1944 r. do podoboju w Dreźnie (tzw. *Kommando Dresden*), należącego do systemu obozowego KL Flossenbürg.⁷ Pracowała w fabryce amunicji. Została uwolniona 8 maja 1945 r. pod Drezniem w czasie ewakuacji obozu. Jeszcze w tym samym roku rozpoczęła studia polonistyczne na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Poznańskiego.

W grudniu 1945 r. wyszła za mąż za Edwarda Serwańskiego, historyka dziejów okupacyjnych Wielkopolski. Mieli trójkę dzieci: Macieja (ur. 1946), Jacka (ur. 1953) i Małgorzatę (ur. 1954). W 1948 r., po uwięzieniu męża (1948-1951)⁸ przerwała studia, ukończyła je jednak cztery lata później. Pracowała w Instytucie Zachodnim jako bibliotekarka, korektorka i referentka w dziale finansowym, a następnie – w poznańskim oddziale Państwowego Wydawnictwa Naukowego (m.in. jako kierowniczka redakcji humanistycznej). W 1962 r. została kierownikiem Redakcji Naukowo-Technicznej w Wydawnictwie Naukowym UAM, a później redaktorem naczelnym wydawnictwa.⁹ W 1980 r. przeszła na emeryturę.



**Konspiracyjny koncert
zorganizowany przez AKAHA w
Poznaniu. Fot. ze zbiorów
Komendy Chorągwi ZHP w
Poznaniu**

Od lat pięćdziesiątych była członkiem Komisji Historycznej przy Komendzie Wielkopolskiej Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego, a od lat siedemdziesiątych – wydawcą materiałów komisji (wraz z mężem, w latach 1972-1991 przewodniczącym komisji). Także wtedy uzyskała najwyższy stopień instruktorski ZHP – harcmistrza. Zmarła 3 marca 2002 r. Spoczywa na cmentarzu Junikowo w Poznaniu.¹⁰

W poznańskich więzieniach

Drugą połowę 1943 r. Wanda Krawcówna spędziła w trzech poznańskich więzieniach, z których dwa, idąc za nazewnictwem niemieckim, określa się niezbyt precyzyjnie mianem obozu.

W dniu aresztowania oraz incydentalnie, w związku z przesłuchaniami, przebywała w przedwojennym Domu Żołnierza przy ul. Ratajczaka (Ritterstraße, obecnie Niezłomnych 1a) na Starym Mieście. Został on zamieniony przez Niemców na siedzibę gestapo na Okręg Rzeszy Kraj Warty. Znajdowało się tutaj „więzienie domowe” gestapo, czyli areszt. Tutaj też dowożono z innych więzień aresztowanych Polaków oraz działał policyjny, doraźny sąd administracyjny (*Standgericht*).¹¹



**Konspiracyjny wieczór literacki
zorganizowany przez AKAHA w
Poznaniu. Fot. ze zbiorów
Komendy Chorągwi ZHP w
Poznaniu**

Okres uwięzienia w Poznaniu spędziła Krawcówna w Forcie VII. Leżał on na Woli (obecnie Grunwald), na zachodniej granicy miasta przy al. Polskiej (Friedrich-Krupp-Allee).¹² Mieściło się tu w czasie wojny niemieckie więzienie, zmieniające swą nazwę zależnie od aktualnych potrzeb jego zwierzchników. W październiku i listopadzie 1939 r. funkcjonowało jako „obóz koncentracyjny” podlegający grupie operacyjnej niemieckiej Policji Bezpieczeństwa, od listopada – jako obóz przejściowy gestapo, od połowy 1941 r. – jako więzienie policyjne Policji Bezpieczeństwa i wychowawczy obóz pracy. Ostatnia nazwa oznaczała, że do więźniów dołączały, na ogół od soboty po południu do niedzieli/poniedziałku, osoby oskarżone przez pracodawców o „niedbałą pracę”. Pobyt ich w obozie miał zatem charakter krótkoterminowej reedukacji (tzw. niedzielnicy). Był to więc przede wszystkim rodzaj obozu przejściowego i więzienia śledczego, w którym więźniowie przebywali do czasu podjęcia decyzji przez poznańskie gestapo albo wydania wyroku przez któryś z niemieckich sądów w Poznaniu lub Berlinie (kara śmierci bądź skierowanie do obozu lub więzienia). Ze względu na panujące warunki oraz wykonywanie wyroków i zbiorowych egzekucji na przywożonych tu osobach, jak nieuleczalnie i psychicznie chorzy, był to zarazem obóz o charakterze eksterminacyjnym. Nie miał on jednak – wbrew swej nazwie – charakteru typowego „obozu” (Lager). Komendant jego podlegał kierownikowi poznańskiego gestapo, strażnikami niższego szczebla (SS-Wachkommando) byli początkowo

esesmani-folksdojczce, od wiosny 1941 r. również esesmani z tzw. starej Rzeszy (Altreich). Więźniowie w zasadzie nie pracowali, ale i nie mieli spacerów, nie nosili także więziennych drelichów. Przez Fort VII przewinęło się zapewne kilkanaście tysięcy więźniów, jednorazowo przebywało w nim od 400 do 1,2 tys. osób.

Okres uwięzienia w Poznaniu spędziła Krawcówna w Forcie VII. Leżał on na Woli (obecnie Grunwald), na zachodniej granicy miasta przy al. Polskiej (Friedrich-Krupp-Allee).¹² Mieściło się tu w czasie wojny niemieckie więzienie, zmieniające swą nazwę zależnie od aktualnych potrzeb jego zwierzchników.

Na skutek żądań Wehrmachtu, który chciał przejąć Fort VII, zdecydowano w połowie 1942 r. o przenosinach więźniów do podpoznańskiej wsi Żabikowo (ówczesna niemiecka nazwa: Poggenburg). Zakończyły się one wiosną 1944 r. Przy granicy z miasteczkiem Luboń, na południowy zachód od Poznania, w latach 1941-1942 mieścił się na polach tej wsi obóz pracy dla Żydów, głównie z Łodzi i okolic, budujących autostradę do Frankfurtu nad Odrą.¹³ Obóz dla więźniów funkcjonował od kwietnia 1943 r. pod poprzednią nazwą, z dodatkiem Posen-Lenzingen (Poznań-Junikowo), jego teren został bowiem włączony do tej poznańskiej dzielnicy.¹⁴ Obóz składał się z dwóch części - więzienia policyjnego dla więźniów „politycznych” i obozu karnego dla osób oskarżonych przez Urząd Pracy (*Arbeitsamt*) o uchylanie się od pracy.¹⁵ „Polityczni” przebywali tu na ogół od kilku dni do kilku tygodni, więźniowie „karni” - zwykle dwa, trzy tygodnie. Z Żabikowa odeszło 28 transportów do niemieckich obozów koncentracyjnych: Auschwitz, Groß-Rosen, Mauthausen-Gusen oraz Sachsenhausen i Ravensbrück.¹⁶ Krawcówna przebywała tu przez pierwsze dwa tygodnie grudnia, zanim została wysłana do „prawdziwego” obozu.



Dom Żołnierza w Poznaniu, w czasie okupacji siedziba gestapo w Kraju Warty, widok przedwojenny. Fot. AIPN

Relacja

Tekst swój Serwańska zatytułowała *Wspomnienia z pobytu w obozach koncentracyjnych*. Publikujemy ich początek, liczący szesnaście stron maszynopis, dotyczący aresztowania autorki i jej uwięzienia kolejno w poznańskiej siedzibie gestapo, Forcie VII i w Żabikowie, zakończony transportem do Auschwitz (czerwiec – grudzień 1943 r.). Kopia wspomnień znajduje się w Instytucie Zachodnim w Poznaniu.

Liczą one 41 stron i nie są datowane wprost. Na czas powstania i autorkę naprowadza podtytuł: „Spisała Wanda Serwańska, lat 31, korektor Państwowych Wydawnictw Naukowych, zamieszkała w Poznaniu, ul. Przemysłowa 53 m. 5”. Podany wiek wskazywałby na to, że relacja została spisana w 1952 lub do połowy 1953 r. Podtytuł kryje zagadkę, gdyż do końca 1953 r. autorka pozostawała na liście płac Instytutu Zachodniego.¹⁷ Tak też ujmują sprawę jej biogramy, datujące pracę w PWN od 1954 r. Wydaje się jednak, że relacja została przepisana wiele lat później z niedatowanego rękopisu, a dodany podtytuł orientacyjnie, nie całkiem dokładnie (wiek lub stanowisko), wskazywał na czas jego powstania.¹⁸ Potwierdza tę możliwość Edward Serwański, który podał po latach, że oboje nie pamiętają, kiedy powstały wspomnienia żony, w każdym razie zostały spisane w latach sześćdziesiątych – żona dyktowała, a on spisywał, tekst zaś pozostał w maszynopisie. Rzeczywiście, jeśli się weń wczytać, nosi on jakby charakter relacji mówionej (żona), poprawnej jednak literacko, uzupełnianej niekiedy wtrętami (mąż?).¹⁹

Relację publikujemy w oryginale, z niewielkimi poprawkami językowymi, zachowując przy tym niektóre charakterystyczne, a nieużywane dziś zwroty. Podzieliliśmy ją na części, nadając im podtytuły, podobnie jak i tytuł główny, podaliśmy także panieńskie nazwisko autorki, które nosiła w czasie wojny. Cytaty z tej relacji pojawiały się w literaturze przedmiotu, przede wszystkim u Aleksandry Pietrowicz. Ponadto Wanda Krawcówna jest pomysłodawczynią i zapewne główną autorką „hymnu fortowego”, śpiewanego w 1943 r. w celach kobiecych Fortu VII20.

Za życzliwie udzielone informacje dziękujemy dr. Bogumiłowi Rudawskiemu, pracownikowi Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

Autorka miała szczęście – nie była bita ani torturowana w śledztwie, nie znalazła się w bunkrze (więziennym karczerze), w obozie w Żabikowie przebywała w baraku „politycznym”, a jako kobieta nie była tak okrutnie szykanowana i prześladowana jak mężczyźni. Łagodne traktowanie w śledztwie, jak na warunki okupacyjne – tylko zastraszanie i nacisk psychiczny – należy wiązać ze słabymi poszlakami przeciwko Krawcównie. Aresztowanie jej nastąpiło być może w związku z częściową dekonspiracją tajnego nauczania w konspiracyjnym harcerstwie wielkopolskim, a nie działalnością Biura Zachodniego Delegatury.²¹ To bodaj w zasadniczy sposób określa charakter tej przejmującej, choć oszczędnej w słowach relacji, odbiegającej od znanych, wstrząsających opisów traktowania więźniów przez esesmanów oraz eksterminacji ofiar w Forcie VII, a przecież „w polskiej opinii publicznej lat okupacji uchodził [on] za obóz, którego przeżyć nie sposób”²².

Warunki bytowe, w jakich znalazła się Krawcówna, były następujące: wiadro w celi (Fort VII) lub brak w ogóle „kibla” (Żabikowo), co skutkowało brakiem świeżego powietrza, smrodem, kloaką; upał lub zimno (brak ciepłych ubrań) w zależności od pory roku i pogody; tłok i problemy ze snem; brak prycz do spania; brak bieżącej wody, a więc trudne warunki higieniczne; brak opieki lekarskiej i lekarstw, w rezultacie choroby, zwłaszcza żołądka, ból, trudności w codziennych czynnościach życiowych, zagrożenie kalectwem, śmiercią; brak regularnych spacerów; brak kontaktu z przyrodą; brak kontaktu z bliskimi; monotonia w więzieniu (Fort), za to – na odwrót – pożyteczna praca w obozie (Żabikowo).

Na skutek żądań Wehrmachtu, który chciał przejąć Fort VII, zdecydowano w połowie 1942 r. o przenosinach więźniów do podpoznańskiej wsi Żabikowo (ówczesna niemiecka nazwa: Poggenburg). Zakończyły się one wiosną 1944 r. Przy granicy z miasteczkiem Luboń, na południowy zachód od Poznania, w latach 1941-1942 mieścił się na polach tej wsi obóz pracy dla Żydów, głównie z Łodzi i okolic, budujących autostradę do Frankfurtu nad Odrą.

Traktowanie: brak korespondencji; okradanie (z) paczek; rewizje, szczególnie dokuczliwe ze względu na niemożność legalnego posiadania rzeczy osobistych; okłamywanie więźniów przez strażników; złe wyżywienie i głód; zakazy i nakazy – szczególnie trudny do zniesienia pośpiech, wykonywanie obowiązków i wszelkich czynności życiowych biegiem (Żabikowo), nakaz „porządku”, zakazy śpiewu, posiadania przedmiotów

osobistych itd.; kary „regulaminowe” – bunkier (karcer), pozbawianie żywności, „sport” (upodlające, bezsensowne ciężkie ćwiczenia fizyczne); brak informacji z zewnątrz; niesprawiedliwość, dowolność oraz przypadkowość kar i wyboru ofiar; ogólne złe traktowanie – szykany, prześladowanie, bicie, szczucie psami (Żabikowo); fikcja urzędowej opieki i pomocy; znane autorce z autopsji lub z relacji innych osób – tortury w śledztwach oraz tortury i prace karne stosowane wobec mężczyzn.

Osoby (typy ludzkie): przede wszystkim bezimienne portrety różnych niemieckich strażników i strażniczek więziennie-obożowych, od sadystów do osób współczujących; cechą charakterystyczną, wyróżniającą sytuację autorki, był brak więźniarek kryminalnych i Niemek – same więźniarki polskie i „polityczne” (w Żabikowie mające osobny barak).



Wanda Krawcówna i Edward Serwański „Mietek”, działacz „Ojczyzny”, emisariusz Biura Zachodniego Delegatury Rządu RP na Kraj. Fot. ze zbiorów Aleksandry Pietrowicz

Kontakty międzyludzkie: paczki jako namiastka korespondencji z domem; informacje od więźniarek wracających ze śledztwa – ze świata, o śledztwie, o sprawach osobistych, o obozie (Żabikowo); nielegalny kontakt z innymi celami przez „widzenia” w klozecie i grypsy; podglądanie przez dziurki w zamalowanych szybach; ukrywanie i przemykanie rzeczy osobistych; wspólne zajęcia własne w celi (nauka, praca, rozrywka).

Przeżycia: strach przed śledztwem, karami (prowadzącymi do nich niedozwolonymi zachowaniami), strażnikami; ostrożność przy „nieregulaminowym” postępowaniu i w słowach; zobojętnienie na złe traktowanie; ciągła niepewność i niewiedza; wdzięczność, wyczulenie na drobne przejawy życzliwości i pamięci; wyjątkowe uwrażliwienie na przyrodę, jej personifikacja; wielka waga przywiązywana do jedzenia (ilość, częstotliwość, jakość); samotność (brak bliskich); tęsknota za wolnością.

Wanda Serwańska z Krawców

Wspomnienia (czerwiec - grudzień 1943 r.)

Aresztowanie (5 czerwca)

W 1943 r. pracowałam w księgarni (kiosku) Ruchu w holu dworca głównego w Poznaniu. W sobotę dnia 5.VI. tego roku w porze przedpołudniowej podeszło do kiosku dwóch cywilów. Jeden z nich powiedział do mnie: „*Fräulein Wanda, da kommen Sie mit*” [Panno Wando, pójdzie pani z nami], po czym odstonił klapę marynarki, okazując się znakiem - zapewne - gestapo.

Okazało się, że przyjechało ich aż czterech, bowiem dwóch innych udało się do mego szefa, a potem - jak się później dowiedziałam - byli u mnie w domu, gdzie przeprowadzili w mieszkaniu rewizję. Podczas niej zabrali moje listy i szereg fotografii.

Tymczasem dwaj cywile, którzy mnie aresztowali, ze swej strony przeprowadzili rewizję w kiosku. Nie znaleźli oni nic kompromitującego mnie. Z dworca odwieźli mnie do Domu Żołnierza. W czasie drogi zapytałam, dlaczego zostałam aresztowana, co się stało. Na to otrzymałam odpowiedź: „Jak to, Pani nic nie wie? Teraz się wszystko wydało!” Nie spuszczała ze mnie oka.

Poprowadzono mnie na pierwsze piętro do jednego z pokoi. Gdy weszłam, kazano mężczyznom, którzy byli właśnie przesłuchiwani, odwrócić się twarzą do ściany. Jeden z nich się słaniał, mdlał. Z sąsiedniego pokoju dochodziły krzyki i wrzaski w języku niemieckim. Stamtąd zaprowadzono mnie do innego pokoju, gdzie Niemka, prawdopodobnie urzędniczka, przeprowadziła osobistą rewizję. Rewizja ta odbyła się bez żadnych szykan. Następnie spisano moje personalia, złożyłam odciski palców, wreszcie sfotografowano mnie kilkakrotnie. Formalności te trwały ok. dwóch godzin.

Po tym wszystkim sprowadzono mnie na dół, do piwnic i zamknięto w jednej z cel. Było w niej już kilka kobiet. W tym czasie wydawano właśnie obiad, który składał się z zupy z brukwi. Nie jadłam nic. W celi była tylko jedna drewniana prycza, gołe deski niczym nie posłane - na jedną osobę. Prócz kibla żadnych innych sprzętów w celi nie było. Okno było bardzo małe i wysoko umieszczone.



**Wanda i Edward Serwańscy,
zdjęcie ślubne z 8 grudnia 1945 r.
Fot. ze zbiorów Aleksandry
Pietrowicz**

W celi tej byłam tylko ok. jednej godziny. Tematem rozmowy był problem: Czy zostaniemy w Domu Żołnierza, czy też pojedziemy na Fort VII. Wszystkie niewiasty obawiały się zostać na miejscu, życzyły sobie dostać się jak najwcześniej na Fort.

Po godzinie zaczęto nas wszystkie po kolei wywoływać z celi na podwórze. Odbywało się to przy wrzasku wartowników SS-Mannów. Trzeba było biec – o czym nie wiedziałam. Za to, że nie biegłam, zostałam uderzona kijem przez plecy. Następnie oddzielnie wywoływano z innych cel mężczyzn. Tych z reguły bito kijami po plecach. Załadowano nas do samochodu, najpierw mężczyzn, a potem nas. Mężczyźni wyglądali okropnie, byli obrośnięci, nieogoleni i bardzo zmizerowani. Zakazano prowadzenia jakichkolwiek rozmów. Pomimo że w samochodzie był z nami jeden konwojent z bronią, odbywały się ukradkiem ciche rozmowy. Zręcznie przesiadano się, aby móc się porozumiewać między znajomymi. Mężczyzn cechowała dobra postawa – dodawali nam, niewiastom, otuchy. W zasadzie jednak w czasie transportu panowała cisza, nikt nie płakał, nie narzekał.

Fort VII (czerwiec - wrzesień)

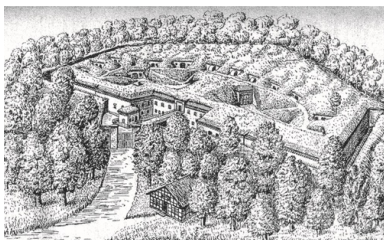
Znaleźliśmy się w Forcie Colomb. Kolejno wywoływano nas ze samochodu do biura, gdzie znowu spisano personalia. Oddawaliśmy do depozytu drobiazgi, jakie mieliśmy przy sobie, i rzeczy osobiste. Następnie zaprowadzono mnie długim korytarzem w dół do piwnic. Umieszczono mnie w jednej z takich piwnicznych cel. Panował w niej półmrok, czuć było wilgoć. W celi zauważyłam jedną długą pryczę na dziesięć osób i jedną ławkę. Prycze były zasłane kocami. W celi było ok. 20 kobiet. Ponieważ cela była bardzo maleńka – liczyła ok. 10 m kw. powierzchni – było w niej bardzo duszno, po prostu nie było czym oddychać. Na ławie siadywało się na zmianę, ponieważ prycz nie wolno było zajmować.

Niewiasty starały się nie przyznawać do znajomości. Wielkie wrażenie wywarły na mnie rozmowy przeprowadzone poprzez ścianę z sąsiednią „celą”. Piszę w cudzysłowie, ponieważ w rzeczywistości nie była to cela, tylko bunkier. Mieścił się on pod schodami, tuż obok naszej celi. Bunkier ten nie miał okna, jego powierzchnia wynosiła zaledwie 1 x 1,5 metra. Bunkier ten był tak niski, że mógł się w nim pomieścić tylko pochylony człowiek. Wychodząc raz z naszej celi, widziałam ten bunkier, ponieważ były otwarte drzwi. Z rozmów, jakie prowadziły moje koleżanki, wynikało, że w bunkrze była kobieta. Przebywała ona tam kilka dni.

Opowiadano mi, że innym razem przebywała w tym bunkrze kobieta, która strasznie krzyczała, że się dusi. Okazało się, że umieszczono ją w bunkrze tuż po jego wychlorowaniu. Oczywiście, że nie miała czym oddychać.

Z naszej celi nie tylko słyszałyśmy odgłosy życia bunkra, ale i częściowo mogłyśmy obserwować ruch wokół niego dzięki temu, że w drewnianych drzwiach naszej celi były szpary pomiędzy deskami, przez te szpary widziałyśmy część korytarza.

W tym samym bunkrze przebywała jeszcze inna kobieta, aresztowana podobno tylko dlatego, że była członkiem rodziny aresztowanych. Przebywała ona w tym bunkrze trzy miesiące. W tym czasie była tylko kilka razy wyprowadzana na powietrze i przy tej okazji przewietrzano też sam bunkier. W takich wypadkach pozwalano jej zabierać ze sobą na powietrze również pościel. Była tak osłabiona, że koleżanki z naszej celi, wezwane przez dozorców, niosły za nią tę pościel, sama nie mogła jej unieść. Pościel ta była zbutwiała, wilgotna, prawie że mokra. Kiedy po trzech miesiącach umieszczono ją w innej celi, dostała szoku nerwowego. Jak się później dowiedziałam, zmarła w obozie koncentracyjnym.



Widok Fortu VII - rysunek zamieszczony w monografii M. Olszewskiego, *Straty i martyrologia ludności polskiej w Poznaniu 1939-1945*, Poznań 1973, s. 44

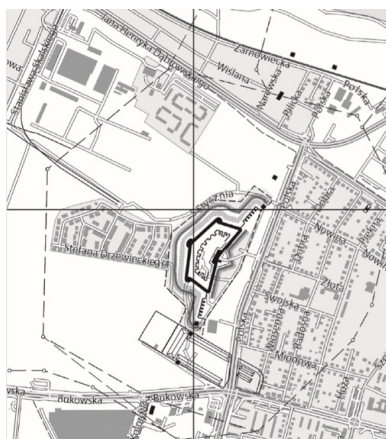
Jak sami dozorczy oceniali tego rodzaju torturę, niech świadczy fakt, że niektórzy z nich – uważani przez nas za porządnych – ukradkiem pozwalali dawać przebywającym w bunkrze większe porcje zupy. Kiedy jednemu z tych porządnych wachmanów [strażników] żaliłyśmy się na nasze warunki, pokazywał wymownym ruchem ręki na bunkier. Zrozumiałyśmy go zupełnie. Człowiek ten jak najwidoczniej litował się nad losem kobiet przebywających w bunkrze.

Muszę tu jeszcze dodać, że zarówno nasza cela jak i bunkier nie znajdowały się na właściwym poziomie korytarza, tylko poniżej jego, to znaczy że inne cele były – że się tak wyrażę – parterowe, a nasza piwniczna.

Fakt [ten] dawał się nam ciężko we znaki również i dlatego, że okno nasze wychodziło na podwórze w miejscu, w którym znajdowała się kloaka. Przy jej opróżnianiu były zajęte kobiety. W czasie tego fetor z kloaki zapełniał całą naszą celę do tego stopnia, że nie miałyśmy czym oddychać, po prostu dusiłyśmy się. Staraliśmy się wówczas ręcznikami „wygarniać” powietrze z celi. Były to jednak próby daremne, ponieważ koleżanki mdlały z braku powietrza. Pora roku – było to lato – wreszcie upały były przyczynami, które potęgowały zaduch i fetor.

Drugą plagą był głód. Początkowo – to znaczy od czerwca do sierpnia – były paczki z domu. Była w nich żywność i odzież. Póki były paczki, wyżywienie więzienne nie odgrywało poważnej roli. Od sierpnia przestały jednak do nas dochodzić. Później dowiedziałam się, że z domu w dalszym ciągu przesyłano nam paczki, ale nam ich nie doręczano. Przekazywano je do kuchni więziennej, a ślady zawartości tych paczek odnajdywaliśmy w zupach. I tak ponosiłyśmy poważne straty, ponieważ paczki przetrzymywano w tzw. *Paketkammer* [paczkarnia, także pomieszczenie poczty obozowej, paketkamera, paketsztela], na skutek czego żywność się psuła.

Od sierpnia byłyśmy skazane wyłącznie na wikt więzienny. Raz po raz tylko udawało się którejś z nas otrzymać wyjątkowo paczkę przesłaną pocztą – w zasadzie bowiem składały je rodziny bezpośrednio na Forcie.



Fort VII (Colomb) przy al. Polskiej na współczesnym planie miasta. Na południu, tu niewidoczny, Fort VIIA przy ul. Marceińskiej, a na zachodzie, na północ od ul. Bukowskiej - lotnisko na Ławicy. Dom Żołnierza przy ul. Ratajczaka (obecnie Niezłomnych) poza planem, droga doń wiedzie na południowy wschód. Fragment mapy za: M. Wojciechowski, J.

Biesiadka, A. Gawlak, W.
Waraczyński, Fort główny VII
Colomb, Poznański Szlak
Forteczny, 2015,
twierdza.poznan.pl/fort7/
[dostęp: 6 XII 2017 r.]

Na śniadanie otrzymywałyśmy tylko kawę, wieczorem do kawy dodawano chleb, który powinien starczyć na cały następny dzień aż do kolacji. Chleb był czarny, oczywiście suchy. Na więźnia wypadała piąta, względnie szósta, często siódma, a nierzadko nawet ósma część bochenka – zależnie od tego, czy należały się nam normalne porcje czy też zmniejszone za jakieś tam kary. Wydawanie chleba wieczorem, a nie rano, a następnie stałe prawie ograniczanie normalnych porcji były przyczyną głębokich rozterek. Niejednokrotnie trudno było oprzeć się pokusie głodnego żołądka. Chęć nasycenia się małym kawałkiem chleba zaraz wieczorem była silniejsza od perspektywy głodowania przez całe jutrzejsze przedpołudnie. Były to po prostu męczarnie, które nas gnębiły codziennie. Rozsądek często ulegał pokusie głodnego żołądka.

Obiady składały się wyłącznie z zup. Otrzymywałyśmy zupy z marchwi, kapusty, brukwi, lebiody i pokrzyw. Prawdziwym już nieszczęściem była zwana przez nas „zupa z okruszkami”. Zawierała ona właśnie żywność z naszych paczek, których nam nie doręczano. Zupa ta była nie do jedzenia i to w takim stopniu, że wołałyśmy jeść nawet zupę z pokrzyw. Do zupy tej wrzucano bowiem tak wędlinę jak i słodycze z naszych paczek. Z tych względów była wręcz obrzydliwa. Zupy było mało. W zasadzie bowiem powinnyśmy otrzymywać po pół litra dziennie. Systematyczne jednak stosowanie kar powodowało, że otrzymywałyśmy znacznie zmniejszone porcje. Byłyśmy tak wygłodzone, że zupę dzieliłyśmy w celi łyżkami, aby nikomu nie stała się krzywda.

W celi naszej jedna z koleżanek była w ciąży. Pomimo to nie otrzymywała ona żadnych dodatkowych porcji ani też innego jedzenia. Pomagałyśmy jej w ten sposób, że dzieliłyśmy się z nią naszymi porcjami.

Gdy zupy były dość gęste, zachowywałyśmy resztę na kolację i obkładałyśmy nią chleb. Staraliśmy się w ogóle pić jak najwięcej kawy, aby w ten sposób zaspokoić żołądek chociażby ilością wody.

Sprawy żywienia nie można oddzielić od systemu kar. Były one ze sobą ściśle związane. Morzenie głodem było bowiem najpowszechniej stosowaną karą. A karano w tym wypadku za cokolwiek, jak na przykład za nieporządek na pryczach, za śpiew, za rozmowy. Najczęściej jednak nie wiedziałyśmy w ogóle, za co jesteśmy karane. Hitlerowcy stosowali bowiem zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Zdarzały się na przykład wypadki, że nie wydawano w ogóle obiadów, tzn. zup, względnie chleba. Gdy potem pytałyśmy się wachmanów albo wachmanek [strażniczek] – których było można o to zapytać – otrzymywałyśmy stereotypową odpowiedź – *Strafe!* [kara]. Spotykała więc nas kara, dlatego że gdzieś tam na Forcie w jakiejś innej celi coś się stało. Zdawało się, że hitlerowcy szukali pretekstu, aby cały Fort morzyć głodem. I tak było w istocie – głód

był straszliwy i dokuczał okropnie.

Innym dowodem, że karę tę stosowano powszechnie, był taki wypadek: kilkanaście kobiet pracujących na Ławicy [lotnisku na polach podpoznańskiej wsi o tej nazwie (*Boelcke-Horst*), którą w 1940 r. włączono w granice miasta, odległym od Fortu VII ok. 3 km] przy kopaniu rowów skazano na trzy dni głodówki za to, że rodziny przyniosły im paczki z żywnością. Zamknięto je w pralni czy w jakimś innym pomieszczeniu i prócz kawy niczego nie otrzymywały. Na trzeci dzień kobiety te mdlały z głodu, ślaniały się, nie mogły się utrzymać na nogach o własnych siłach.

Za rzekomy nieporządek w celi, rozmowy, śpiewy karano nas w różny sposób. Kazano np. stać w półprzysiadzie z wyciągniętymi do przodu rękami. Musiały to robić również – koleżanka więzienna, która była w ciąży, i prawie osiemdziesięcioletnia staruszka. Albo: kazano nam wchodzić na prycze i skakać w dół. Prycze były dwupiętrowe, koleżanki skaczące z góry padały na te, które skakały z dolnej pryczy, prosto na plecy, na głowy.

Jednak ten system kar nie był jeszcze groźny wobec tego, co słyszałam o innych, stosowanych na mężczyznach. Nie widziałam tego. Opowiadano mi tylko, że na dziedzińcu były tzw. górki, po których gnano i pędzono godzinami mężczyzn w przysiadach, w tzw. żabkach, aż do nieprzytomności. Kto nie miał już sił, był bity. W czasie jednego ze spacerów widziałam stromą ścianę. Opowiadano mi, że zmuszano mężczyzn do wdrapywania się na nią.

Zresztą stale dochodziły do nas odgłosy krzyków i jęków – to strażę znęcały się, biły i maltretowały mężczyzn w sposób, o którym niestety nie mogę nic powiedzieć.

Wiem również z opowiadań, że na Forcie były egzekucje i to pod ścianą, o której co dopiero wspomniałam. Na ścianie tej widziałam ślady krwi.



Cela w Forcie VII, widok obecny.

Fot. AIPN

Niezależnie jednak od systemu stosowania takich czy innych kar ogólne traktowanie nas było bardzo surowe.

Miało ono zapewne na celu sterroryzować nas. Głównie zależało to od postawy wachmanów. Jeden z nich, zwany przez nas „Tygrys”, szczególnie nam dokuczał. Do ubikacji należało iść bardzo prędko, gdy mu się któraś z nas nie spodobała, bił gumową pałką, gdzie popadło. Razu pewnego, podczas rewizji w celi, znalazł on zapalki, z tego powodu obił mnie kijem, jako że – jego zdaniem – byłam za to odpowiedzialna. Do innych sposobów terroryzowania nas przez „Tygrysa” należało szczucie psem – ile razy go miał przy sobie – w drodze do ubikacji.

„Tygrys” miał opinię sadysty, który bił i znęcał się nad więźniami za byle co, najczęściej bez żadnego powodu.

Ale byli i wachmani i wachmanki znośni, zwłaszcza zaś tzw. kapo [obozowy skrótowiec od niem. *Kameradenpolizei*, dosł. policja koleżeńska, więzień-nadzorca, jeden z tzw. więźniów funkcyjnych]. Byli to Niemcy-więźniowie, którzy nam raczej współczuli, świadomi zapewne własnego losu. Jako przykład postawy jednego z wachmanów niech świadczy taki fakt. Dziedziniec, na który wychodziło nasze okno, obrosły był trawą. Rosły tam również poziomki. Otóż wachman ten, który miał straż na dziedzińcu, nazrywał całą wiązanek poziomek wraz z listowiem i pewnej chwili wrzucił nam przez okno do celi. Byliśmy głęboko wzruszone najpierw samym faktem, a następnie widokiem „żywego kawałka” przyrody. Jak bardzo musiałyśmy się czuć sterroryzowane, upodłone, zgnębione, jak bardzo odczuwaliśmy ogromny dystans, jaki dzielił nasze własne człowieczeństwo od tego, które reprezentowali Niemcy, niech świadczy odruch naszych myśli i uczuć skierowany pod adresem wachmana: „Niemiec – a jednak... człowiek!” – Nie potrafiłyśmy tego zrozumieć. Zachowanie jego wydało się nam w naszych oczach tym piękniejsze, że – zdaniem naszym – uległ czarowi naszego śpiewu, za który – jak gdyby zamiast kwiatów w podzięce – rzucił nam wiązkę poziomek. Fakt ten pamiętam zapewne dlatego tak mocno, że wrażliwość na dobroć ludzką w tej ciężkiej próbie była szczególna, poza tym bezgranicznie wprost łaknęliśmy jakiegokolwiek kontaktu bezpośredniego z przyrodą. I z tego to powodu pamiętam też inny fakt. Ponieważ okno nasze znajdowało się na wysokości samego dziedzińca, mogłyśmy obserwować życie... trawy. Ale do szczególnych już przeżyć zaliczyć muszę nasz entuzjazm, kiedy pod naszym oknem wyrósł fiołek. Ubóstwialiśmy go. Był on dla nas synonimem życia na swobodzie, na wolności, oddechem całej przyrody. Był on naszym słońcem. Żyliśmy nim po prostu, ciesząc się i radując jak dzieci. Pewnego dnia niestety zauważył to jakiś inny wachman i butem zdeptał fiołka. Było to dla nas bardzo ciężkie przeżycie, zdaniem naszym było to barbarzyństwo, jeśli wręcz nie bestialstwo.

Względność innych wachmanów i wachmanek jak i wspomnianych kapo miały dla nas duże znaczenie. Swym zachowaniem mogli bowiem wpływać na polepszenie naszej sytuacji. Otóż kiedy otrzymywałyśmy w pierwszym okresie trzech miesięcy paczki żywnościowe i odzieżowe z domu, spełniały one niejako rolę listów z domu. Z chwilą kiedy zaprzestano nam je dostarczać, zerwał się wszelki kontakt z domem. Staraliśmy się przeto porozumiewać się z innymi celami, aby się czegoś dowiedzieć i o domu, i o biegu naszych spraw. Porozumiewaliśmy się karteczkami, które zostawiało się w ustępie. Następnie kapo niejednokrotnie tak kombinowali, że wypuszczali do ustępu równocześnie kilka cel, o których wiedzieli, że przebywają w nich np. siostry, matki, córki. Stwarzali więc tym samym niejako widzenia. Były to oczywiście okazje do porozumiewania się i wymiany niezbędnych informacji.

Tygodniami np. nie wychodziłyśmy na spacer. Wielkim przeto było dla nas dobrodziejstwem, jeśli względna

wachmanka pozwoliła pewnego razu nam zabierać koce, które przetrzepaliśmy na dziedzińcu.

W tym pierwszym okresie pobytu mego na Forcie zorientowałam się już dobrze w warunkach, w jakich żyjemy.

Dzień zaczynał się pobudką o godzinie 6-tej. Porządkowało się cele, po czym otrzymywałyśmy kawę.

Następnie odbywał się apel. Wachman wchodził do celi, wszyscy stawali na baczność, starsza celi składała raport o stanie obecnych. Następnie kończyło się porządkowanie celi, jak np. mycie podłogi. Była ona z cegieł. O godz. 12 był obiad, o 18 kolacja.



Cela w Forcie VII, w której 6 stycznia 1940 r. strażnicy dokonali masakry przedstawicieli elity wielkopolskiej - widok obecny. Fot. AIPN

W ciągu dnia trzykrotnie było tzw. *Austreten* [wyjście] do ubikacji. Byłoby to wystarczające, gdyby wszyscy byli zdrowi, ale niestety tak nie było, głównie bowiem dokuczała choroba żołądka, toteż nieraz trzeba było korzystać z wiadra, które było w celi, było ono bez przykrycia. Jakkolwiek starałyśmy się je przykrywać we własnym zakresie czym się tylko dało, niemniej powietrze w celi z tego powodu było szczególnie dotkliwie nie do zniesienia. W czasie *Austreten* przynosiłyśmy do celi wodę do mycia, ręczniki i mydło mieliśmy własne.

Spanie było bardzo niewygodne. Jak wspomniałam, w celi była tylko jedna prycza - same gołe deski, koce miałyśmy własne, spałyśmy we dwie, jeden koc służył za pościel, drugim przykrywałyśmy się. Leżałyśmy jak śledzie jedna przy drugiej i tylko na boku. Gdy któraś z nas chciała się przewrócić na drugi bok, musiały to robić i inne; budziły się wówczas prawie wszystkie koleżanki.

Opieki lekarskiej praktycznie nie było. Utworzył mi się wrzód w gardle, cierpiałam bardzo. Były chwile, że po prostu dusiłam się. Koleżanki alarmowały bezskutecznie o pomoc. Pewnego dnia wachmanka spowodowała, że przyszła do celi lekarka, była to Polka, również więźniarka. Nie mogła ona nic zrobić, ponieważ nie dysponowała ani lekarstwami, ani instrumentami lekarskimi. Poradziła mi ona, abym sama usunęła

paznokciem wrzód w gardle. Koleżance, która była w ciąży, utworzył się skrzep w nodze. Wezwana wyżej wspomniana lekarka prócz oględzin nie mogła i w tym wypadku nic zaradzić. Zaznaczam, że z powodu ciąży koleżanka w ogóle z żadnej opieki lekarskiej nie korzystała.

Zdarzało się, że niekiedy wzywano nas z cel do lekarza, ale wynik tych wezwań był taki sam, jak wizyty lekarskie w celi. Na Forcie nie dysponowano bowiem żadnymi środkami lekarskimi. Leczyliśmy się jak gdyby we własnym zakresie, a to dzięki temu, że w paczkach, które otrzymywałyśmy w okresie pierwszych trzech miesięcy, znajdowały się lekarstwa. „Leczyliśmy się” głównie aspiryną.

Ten stan rzeczy nie powstał bynajmniej z niedbalstwa Niemców, był on zapewne celowo zamierzony. W naszej celi bowiem znalazła się koleżanka z otwartą gruźlicą. Pomimo że mogłyśmy się wszystkie zarazić, pomimo że wśród nas była kobieta w ciąży, nie pomyśleli Niemcy, aby chorą wyizolować.

Życie i nastrój w celi zależały w znacznym stopniu od nas samych. Same też starałyśmy się znaleźć dla siebie zajęcie. Wiele śpiewałyśmy, zorganizowałyśmy nawet chór, który śpiewał na trzy głosy. Prowadziłyśmy wykłady, uczyłyśmy młodsze. Popularną była nauka języków obcych. Każda z nas wykładała z tych dziedzin wiedzy, na których się znała. Najlepszym jednak lekarstwem na zabicie czasu były tzw. robótki. Miałyśmy igły i nici przemycane w paczkach. Każda z nas starała się przeto cokolwiek robić – szyć, wyszywać itp. W celi były także karty do gry, którymi kładło się pasjansa.

Starałyśmy się utrzymać dobry nastrój, żyłyśmy wzajemnym pocieszaniem się. Nie było to jednak rzeczą łatwą i to z wielu względów. Nurtował nas niepokój z powodu niebezpieczeństwa stosowania ciągłych kar, stale musiałyśmy się czegoś bać. Następnie musiałyśmy być stale ostrożne, ażeby nie wpaść czy to ze śpiewem, szyciem czy z pasjanssem. Głównie jednak prześladował nas strach przed śledztwem.

Śledztwo w Domu Żołnierza (czerwiec i wrzesień)

Na śledztwo wywoływano codziennie. Mnie wywołano z celi w drugim tygodniu mego pobytu na Forcie. Niemcy używali służbowego określenia na te wyjazdy, mianowicie że jedzie się do *Dienststelle* [czyli biuro, urząd, centrala itp.]. Wywołani stawali na korytarzu twarzą do ściany, po czym wyprowadzano ich na dziedziniec i ładowano na samochód. Wszystko to odbywało się przy rykach i wrzaskach wartowników i konwojentów. Krzyki te były tak normalne, że nikt z nas nie zwracał nawet uwagi.

Jak w czasie pierwszego mego pobytu w Domu Żołnierza, tak i teraz widziałam w pokojach, przez które przechodziłam, kobiety i mężczyzn stojących pod ścianami, obitych, słaniających się, wyczerpanych śledztwem do kresu sił. Śledztwo ze mną przeprowadzał niesympatyczny oficer. Byłam podejrzana o prowadzenie tajnego nauczania, w zasadzie jednak chodziło o nazwiska i działalność osób, co do których przypuszczano, że powinnam je znać. Wszystkiemu zaprzeczałam. Oficer przeprowadzający śledztwo był w towarzystwie tzw. na Forcie „Kowala”. Był to kat w Domu Żołnierza! Jego specjalnością było bicie i wymuszanie zeznań torturami. Oprawca ten był postrachem wszystkich przebywających w Domu Żołnierza na

śledztwie. W czasie badania mnie przez oficera podchodził do mnie, manewrował kluczami nad moją głową, przytykał pięści do mej brody i groził, że się do mnie dobierze. Wiedziałam, co to znaczy. W podziemiach Domu Żołnierza „Kowal” miał swoją katownię. Zabierał ze sobą ofiarę, nakazywał kłaść się na tzw. Maryskę [słowo słabo czytelne w maszynopisie], czyli kozła, i bił, zmuszając do przyznawania się do winy. Gdy to nie pomagało, względnie gdy kto stracił przytomność, oblewano ofiarę wodą i bito na nowo.

Podtrzymywałam zdanie, że nic nie wiem. „Kowal” zrezygnował wreszcie z gróźb i wyszedł. Gdy zostałam sama z oficerem, ten perswazjami i groźbami kontynuował śledztwo i przy tej okazji bez przerwy bawił się szpicrutą. Staralam się tak zachować, aby nie prowokować jego złości, że padam ofiarą pomyłki. Albo mu się spodobałam, albo zachowaniem swym przekonałam go co najmniej częściowo o mej niewinności, że zmienił wobec mnie taktykę i zaczął nakłaniać na przyznanie się. Wyprowadził mnie na balkon. Był dzień śliczny. Z balkonu był widok na park Marcinkowskiego. Mówił o pięknie i o młodości, o wartości życia i innych walorach wolności. Przyznawałam mu we wszystkim rację, ale zdanie swoje podtrzymywałam w dalszym ciągu.

Musiałam mieć wielkie szczęście, bo na tym wówczas skończyło się. Dowiedziałam się później, że mój oficer śledczy był bardzo okrutny i bił niemiłosiernie. Sama widziałam w naszej celi ofiarę jego pobicia. Myślę dziś, że w takim przypadku jak moim i w innych podobnych może umiejętnym zachowaniem się było można coś wskórać u tych katów. Prawdę powiedziawszy było to trudne, ponieważ w rzeczywistości strach paraliżował myśli i serce. Dom Żołnierza był synonimem cierpienia Polaków i synonimem okrucieństwa hitlerowców. Opowiadano mi, że aby nie bić kobiety, która była w ciąży, wrywano jej paznokcie. Sama widziałam w naszej celi koleżankę w ciąży, o której już zresztą wspominałam, że miała w straszliwy sposób pobite i ponadpalane ręce. Okazało się, że w czasie jej śledztwa przypiekano jej ręce nad świecą i potem obkładano je kijami.

Miarą strachu, jaki ogarniał wszystkich na wspomnienie Domu Żołnierza, niech świadczy fakt, że jeśli kogoś zostawiano na noc celem kontynuowania na drugi dzień śledztwa, to już uważano za tragedię. Ale z tego były i korzyści dla nas, a mianowicie zostający przywozili nam wiadomości od świeżo aresztowanych, co się dzieje w Polsce i na świecie, a czasem nawet wiadomości prywatne o rodzinie, często nawet o sprawach innych śledztw, co dla nas miało niewątpliwe znaczenie. Poza tym w Domu Żołnierza było lepsze jedzenie niż na Forcie. Jeśli więc ktoś miał łagodne śledztwo, to prócz wielkiego strachu, jakiego się nałykał, miał okazję zaspokoić uczucie chronicznego głodu.

Do września miałam spokój ze śledztwem. W tym miesiącu wszystkie w celi przeszłyśmy nową fazę śledztwa. Jak się później okazało, padłyśmy ofiarą prowokacji konfidentki, która potrafiła się wkraść w nasze zaufanie. Koleżanki wracały ze śledztwa z Domu Żołnierza straszliwie pobite. Widziałam ślady katowania na ciele. Niektóre z koleżanek miały dosłownie czarne sińce, inne ciało podbijane od kości, jeszcze inne rany krwawiące. Cierpiały one bardzo.



**Szarytka s. Maria Wiśniewska,
łączniczka AK w obwodzie
Poznań-Łazarz, prowadziła też
akcję pomocy społecznej i
medycznej oraz tajne nauczanie,
zamordowana w Forcie VII 19
listopada 1943 r. Fot. AIPN**

Pewnego dnia i mnie wywieziono do Domu Żołnierza. Powtórzyła się historia z moimi koleżankami. Mianowicie że na śledztwie mówiłam, co do czego się nie przyznawałam, a na celi mówiłam prawdę. Starłam się, jak mogłam, zdezaktywować konfidentkę, niemniej obecna sytuacja moja była o wiele trudniejsza. Kiedy w dalszym ciągu do niczego się nie przyznawałam, sprowadzono mnie do podziemi i zamknięto mnie w celi, w której była już siostra zakonna. Powiedziano mi, że mam się w czasie przerwy obiadowej zastanowić, jeśli się nie przyznam, spotka mnie los siostry. Tym razem byłam prawie sterroryzowana – najpierw że konfidentka mogła coś niecoś ode mnie usłyszeć, następnie widziałam w celi w straszliwy sposób pobite koleżanki, a teraz jeszcze widok siostry przygnębił mnie zupełnie. I ona była okropnie pobita, wyglądała jak nieludzko skatowane stworzenie, poza tym kajdanami była przykuta do pryczy.²³

Sytuacja moja była trudna, ponieważ w rzeczywistości nie miałam nic do powiedzenia. Kiedy zawezwano mnie na górę do tego samego śledczego, który badał mnie poprzednio, powiedziałam, że nie mam nic na sumieniu. Nie wiem, czy uwierzył, ale zdekonspirował wyraźnie konfidentkę. I w tym wypadku miałam wielkie szczęście, bo oficer dał mi spokój. Był widocznie przekonany na podstawie wiadomości ze śledztwa z innymi osobami, że jestem niewinna. Odważyłam się nawet zapytać, czy wrócę na wolność, odpowiedział na to, że zostanę

przekazana do obozu koncentracyjnego.

Fort VII (wrzesień - listopad)

W tym samym miesiącu wrześniu zaczęto z Fortu wywozić do innych więzień i do obozów koncentracyjnych, zresztą ruch był w ogóle ciągły. Na skutek tych wyjazdów więźniów przeniesiono nas kilka do innej celi. Była ona nieporównanie większa od poprzedniej i miała podłogę drewnianą. Nie opłacało się to nam jednak z chwilą, gdy zaczęły się chłody, a jeszcze później przymrozki, przejmujące zimno było tak dokuczliwe, że odbierało nam wszelką ochotę do życia. Byliśmy w letnich strojach, wygłodzone. Robiliśmy wszystko, aby się rozgrzać, biegaliśmy po celi, gimnastykowaaliśmy, nic to jednak nie pomagało. Było rzeczą zrozumiałą, że z nastaniem chłodów odczuwaaliśmy głód jeszcze więcej.

Prześladowano nas poza tym ciągłymi rewizjami. W czasie tych rewizji tracialiśmy to, co z trudem udało się nieraz przemyścić do celi albo co zrobiliśmy dla spędzania czasu, jak igły, nici, karty i inne drobnostki. Oczywiście zawsze kończyło się awanturami.

Pamiętam jeszcze, że w tym czasie byliśmy dwukrotnie na „górkach” trzepać koce. Były to nasze jedyne spacerki. Pomimo że cieszyły nas bardzo te krótkie chwile spędzone na świeżym powietrzu, niemniej było nam bardzo ciężko. Widzieliśmy z „górek” szmat Poznania, był tak bliski, a zarazem tak daleki. „Spacerki” te, cokolwiek powiedzieć, należały jednak do bardzo ciężkich przeżyć.

Na Forcie przebywałam do końca listopada 1943 r. W czasie tym, jak mówiono, zaczęto Fort likwidować i więźniów wywozić do Żabikowa albo innych obozów koncentracyjnych.

Żabikowo (grudzień)

Do Żabikowa zaczęto najpierw wywozić kobiety. Pewnego dnia przypadła i na nas kolejka. Wywołano nas, zwrócono nam nasze depozyty, które raczej były w porządku. Transport nasz składał się z 20 kobiet zebranych z kilku cel. Do Żabikowa przewieziono nas samochodem. Był późny wieczór, z trudem orientowaaliśmy się w ciemnościach. Zamknięto nas w baraku dla politycznych.

Pierwsza noc była bardzo nieprzyjemna. W celi nie było kibla. Rzadko był kto na tyle zdrow, aby mógł się powstrzymać z potrzebą do rana. Po prostu chodziło się w celi „na stronę”, to znaczy na kupę węgla czy koksu, jaka leżała w kącie. Było to okropne, ponieważ powstała w ten sposób śmierdząca kloaka. Inne koleżanki, nie wiedząc, jak sobie radzić, korzystały nawet ze swych menażek.

Na drugi dzień otrzymaaliśmy strój więzienny. Składał się on z drelichowych spodni i bluzy i czapki-furażerki.

Najwięcej interesowało nas życie obozu, zwłaszcza że tyle straszno się o nim słyszało. Tymczasem jednak niewiele mogliśmy się dowiedzieć, co nas czeka i co się w obozie dzieje. Jeszcze wieczorem, pierwszego dnia naszego przybycia, słyszeliśmy krzyki, bicia i jęki – to poganiano mężczyzn. Szyby naszej celi były zamalowane. Z trudem obserwowaliśmy przez wydrapane w szybach „oczka”, co się dzieje w obozie.

Cechą charakterystyczną życia w Żabikowie był jeszcze większy pośpiech aniżeli na Forcie. Bez przerwy rozbrzmiewały krzyki: „Los, los!” [dalej, dalej]. Wszystko trzeba było robić biegiem. Same nie miałyśmy wiele okazji do tego biegania, bo tylko do mycia i do ubikacji. Ale i w tych wypadkach bito nas przy lada okazji i szczerzo psami. A sprawa tego biegania nie była wcale łatwa, ponieważ spadały nam stale z głowy czapki-furażerki. Trzeba było bardzo uważać, aby się nie narazić. Ponieważ Fort dla kobiet był już zlikwidowany, świeżo aresztowane kobiety przywożono do nas, skąd wywożono je na śledztwo do Domu Żołnierza. Z tej okazji dowiadywałyśmy się o torturach, jakie stosowano w Żabikowie. „Zugangi” [dosł. zwiększenie stanu, transport nowych więźniów] – jak nazywano nowo aresztowane, wywożone i przywożone widywały cały obóz. Do tortur zaliczano stawianie w koszu z drutu wąskim a wysokim, trzeba było w nim stać. Następnie wrzucano więźniów do zimnej wody, „topiono” ich – jak się mówiło. Bardzo był ciężki los osób, które przywożono w soboty i niedziele na roboty, do prac karnych za opieszałość w pracy. Osoby te narzekały bardzo na złe traktowanie i zmuszanie do nadludzkiego wysiłku, często przy bezmyślnej zupełnej pracy.

Całego tego ciężaru obozowego w Żabikowie nie odczuwałyśmy na swej skórze, ponieważ byłyśmy zupełnie wyizolowane od właściwego obozu. Trzeba stwierdzić, że było nam w obozie lepiej niż na Forcie.

Otrzymałyśmy przede wszystkim pracę, co było dla nas niesłychanie ważne. Byłyśmy zajęte naprawianiem garderoby więziennej. Z tych względów inaczej też nas traktowano, jeśli chodzi o jedzenie, mianowicie otrzymywałyśmy dolewkę. Ponieważ byłyśmy bardzo wygłodzone, miało to dla nas wielkie znaczenie. Nie znaczy to bynajmniej, aby jedzenie w Żabikowie było lepsze, nie. Dawano nam prawie stale zupę z pokrzyw, a do kawy suchy chleb.

Liczyło się bardzo na paczki z domu. Tak nas pocieszała Wachmanka. Niestety ani jednej nie otrzymałyśmy, jakkolwiek – o czym się później dowiedziałyśmy – rodziny składały w obozie paczki żywnościowe i z odzieżą. Prócz odzieży jednak ani razu nie otrzymałyśmy żywności. Cieszyłyśmy się wielce na gwiazdkę, mianowicie że spędzimy ją w Żabikowie, a więc blisko rodzin i Poznania, i że w tym wypadku na pewno otrzymamy paczki.

Transport do Auschwitz (połowa grudnia)

Niestety nasza radość była przedwczesna. W połowie grudnia bowiem wywołano nas niespodziewanie na transport. Dokąd miałyśmy pojechać, nie wiedziałyśmy. Wachmanka jednak namawiała nas, abyśmy – prócz rzeczy na prawdę potrzebnych – niczego nie zabierały, ponieważ jedziemy do obozu koncentracyjnego i wszystko nam tam odbiorą. Szczególnie namawiała mnie, abym nie zabierała mego ślicznego swetra. Zdaniem jej to, co zostawimy, odbiorą rodziny. Na ogół posłuchaliśmy jej rad.

Jak się później okazało, zostałyśmy wszystkie oszukane. Rodziny nasze nie otrzymały niczego. W ten sposób straciłam wieczne pióro, zegarek, pierścionki i wyżej wspomniany sweter, że wspomnę tylko rzeczy, jakie pamiętam.

Na drogę otrzymałyśmy pół bochenka chleba i kostkę margaryny. Wywieziono nas samochodami z Żabikowa na dworzec poznański, gdzie nas ku naszemu zdumieniu załadowano w pulman. Było nas nie więcej jak ok. 50 kobiet. Obsługa była znośna. Z miejsca zjadłyśmy cały nasz przydział, aby raz przynajmniej zaspokoić uczciwie głód.

Jechałyśmy cały dzień. Radość, że podróż odbywa się w znośnych warunkach, mieszała tylko obawa, dokąd jedziemy i co nas czeka. Niestety – przyjechałyśmy do Oświęcimia.

Była noc. Na dworcu czekali na nas SS-Mani. Byli uzbrojeni i z psami. Przejmowanie transportu odbyło się spokojnie. SS-Mani uśmiechali się do nas. Zachęciło nas to nawet do rozmów. Pytaliśmy oczywiście, co nas czeka i jak tutaj będzie. SS-Mani niczym nie zmaconymi uśmiechami odpowiadali, że nie będzie źle, że będzie dobrze. Nie dowierzałyśmy, uśmiechy były jakieś dziwne.

Do obozu było kawałek drogi, szliśmy w kolumnie marszowej pośród nocy dość długo. W pewnej chwili zauważyłyśmy światła obozu, to znaczy reflektory oświetlające druty kolczaste, jakimi obóz był otoczony. Wrażenie było oczywiście ogromne. Obraz był groźny – ujrzałyśmy całą rzeczywistość. Lęk ogarniał serca. Uśmiechy SS-Manów i te druty kolczaste oświetlone reflektorami wśród głębokiej czarnej nocy – mówiły wszystko.

Tekst pochodzi z numeru 1-2/2018 „Biuletynu IPN”

¹ Pozostajemy przy tradycyjnej formie panieńskiego nazwiska naszej bohaterki, aczkolwiek jej mąż, Edward Serwański, pisał je w ówczesnej postaci urzędowej: Krawiecówna – i tak zostało w literaturze przedmiotu.

² W czasie okupacji Bernard Krawiec posługiwał się nazwiskiem konspiracyjnym Zakrzewski, przy którym pozostał po wojnie; był oficerem ZWZ/AK o pseudonimie „Oskar”, m. in. szefem Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II Komendy Głównej AK.

³ E. Serwański, *Z dziejów wielkopolskiej konspiracji 1939-1945*, Poznań 1999, s. 146-155.

⁴ *Pozytywista z duszą romantyka. O życiu i twórczości Edwarda Serwańskiego*, red. H. Olszewski, Poznań 2008.

⁵ E. Serwański, *Z dziejów...*, s. 111.

⁶ Por. R. Kaczmarek, *Górny Śląsk podczas II wojny światowej*, Katowice 2006, s. 250-251, 328 (sprawa Brzezinki).

⁷ Por. *Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933-1945*, t. 1: *Early Camps, Youth Camps, and Concentration Camps and Subcamps under the SS-Business Administration Main Office (WVHA)*, cz. A, red. G.P. Megargee, Bloomington and Indianapolis 2009, s. 566-569 (system podobozów Flossenbürga) i 577-589 (podobozы w Dreźnie i okolicy).

⁸ A. Pietrowicz, *Życie pod lupą bezpieki. Działania aparatu bezpieczeństwa wobec Edwarda Serwańskiego*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2009, nr 1 (14), s. 357-377.

⁹ I. Wegner-Maruszewska, *Minęło już pół wieku... Powstanie i działalność Wydawnictwa Naukowego UAM*, „Biblioteka” 2012, nr 16 (25), s. 259-260, 262.

¹⁰ M. Ramza-Stępnik, W. Serwańska, mps (biogram przygotowany dla *Encyklopedii konspiracji wielkopolskiej 1919-1945*, red. M. Woźniak, Poznań 1998, nie poszedł jednak do druku, poprawki odręczne, kopia w zbiorach A. Pietrowicz); E. Serwański, *Z dziejów akademickiego harcerstwa wielkopolskiego (1939-1945)*, „Życie i Myśl” 1984, nr 9, s. 38-58; *idem*, *W kręgu myśli zachodniej. Wspomnienia i zapiski Wielkopolanina*, Poznań 2003, wg indeksu nazwisk; A. Pietrowicz, A. Łuczak, *Ze strachem pod rękę i śmiercią u boku... Wielkopolanki w konspiracji 1939-1945*, Poznań 2006, wg indeksu nazwisk; R. Wryk, *Życie w służbie Ojczyzny*, [w:] *Pozytywista...*, wg indeksu nazwisk; M. Pietrzykowski, *Serwańska z Krawców Wanda*, [w:] *Harcerski Słownik Biograficzny*, t. III, red. J. Wojtycza, Warszawa 2012, s. 190-191 (błędnie sygnatura archiwum IZ i tytuł biogramu pióra M. Ramzy-Stępnik).

¹¹ Por. E. Kurkowska, *Procedura karna na ziemiach polskich okupowanych przez Niemcy w czasie II wojny światowej*, „Studia Iuridica Lublinensia” 2012, nr 17, s. 158, 169, 170, 177, 178.

¹² M. Olszewski, *Straty i martyrologia ludności polskiej w Poznaniu 1939-1945*, Poznań 1973, s. 39-104 (rozdz. II: Fort VII); A. Pietrowicz, *Lager der Blutrache - obóz krwawej zemsty*, „Biuletyn IPN” 2009, nr 4 (99), s. 31-41.

¹³ *Historia (Obozy pracy przymusowej dla Żydów)*, [w:] *Muzeum Martyrologiczne w Żabikowie*, <http://www.zabikowo.eu/> [dostęp: 6 XII 2017 r.].

¹⁴ A. Ziółkowska, *Muzeum Martyrologiczne w Żabikowie*, „Kronika Powiatu Poznańskiego” 2013, nr 3, s. 18.

¹⁵ Mianem „politycznych” określali Niemcy różne grupy więźniów, na ogół nie mające nic wspólnego z podobną działalnością – z zasady Polaków, nadto zakładników podejrzanych o „bandytyzm” (partyzantów i ich pomocników), jeńców i obywateli sowieckich bez względu na narodowość, więźniów mających przebywać w obozie do końca wojny bez powiadamiania o ich losie rodziny (członkowie „ruchu oporu”, „sabotażyści” itd.), „politycznych recydywistów” (więźniów politycznych ponownie umieszczonych w obozie).

¹⁶ *Historia (Więzienie Policji Bezpieczeństwa i Wychowawczy Obóz Pracy)*, [w:] *Muzeum Martyrologiczne w Żabikowie*, <http://www.zabikowo.eu/>; M. Olszewski, *Straty...*, s. 105 i nast. (rozdz. III: *Obóz w Żabikowie*).

¹⁷ Por. E. Serwański, *W kręgu...*, s. 242-243.

¹⁸ Kserokopia relacji jest przechowywana w Archiwum II wojny światowej Instytutu Zachodniego (1939-1945), w Dziale III: *Protokoły, zeznania, relacje i sprawozdania*, pod sygnaturą I.Z. Dok. III-63. W dołączonej notce znajduje się informacja, z datą 3 czerwca 1987 r., że oryginał zwrócono autorce. Relację zapisano w katalogu archiwalnym pod innym tytułem, mówiącym o drugiej części wspomnień, jako „Wspomnienia z pobytu w obozie koncentracyjnym: Auschwitz-Birkenau i Dreźnie. Osoba przesłuchana: Wanda Serwańska, Poznań, Przemysłowa 53. Uwagi: Spisał Edward Serwański”.

¹⁹ E. Serwański, *W kręgu...*, s. 195. Informacja pozostawia dwuznaczność – w roku 1961 lub 1962 Serwańska przeszła do UAM, nie mogła zatem być jeszcze korektorką w PWN, w którym zresztą zrobiła większą karierę. Wspomnienia więc zostały w latach sześćdziesiątych raczej „spisane”, ewentualnie „napisane” (powtórnie na maszynie) w dosłownym rozumieniu tego słowa, a nie w znaczeniu ogólnie

przyjętym („powstały”).

²⁰ M. Olszewski, *Straty...*, s. 89-90 (trzy zwrotki piosenki).

²¹ Por. E. Serwański, *W kręgu...*, s. 81; A. Pietrowicz, *W służbie Polskiego Państwa Podziemnego*, [w:] *Pozytywista...*, s. 114.

²² M. Olszewski, *Straty...*, s. 39.

²³ Być może szarytka Maria Wiśniewska (1905-1943), łączniczka AK w obwodzie Poznań-Łazarz, aresztowana w tym samym roku, torturowana podczas śledztwa w Domu Żołnierza i zastrzelona 19 listopada w Fortcie VII. Por. A. Kosmowska-Kowalska, *Męczennica z Fortu VII*, „Przewodnik Katolicki” 1989, nr 47, s. 20, za: A. Pietrowicz, *Obóz...*, s. 39.

COFNIJ SIĘ